Poczta Działdowo. Cena pojedyńczego egzemplarza Marek 600.

Rok 2. Warszawa-Działdowo, dnia 20 maja 1923 r. Nr. 9.

GAZETA MAZURSKA

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MAZUR EWANGELICKICH.

Z. L.

Zadatek Ducha Świętego.

Łuk. 24,50—52: „I wywiódł Jezus uczniów aż do Betanji, a podniósłszy ręce Swoje, błogosławił im. I stało się, gdy im błogosławił, rozstał się z nimi, i był niesiony w górę do nieba. A oni pokłoniwszy Mu się, wrócili się do Jeruzalem z radością wielką.

Kochani czytelnicy! Ile razy czytam to opowiadanie o wniebowstąpieniu Jezusa, wtedy zdaje mi się, że osobiście stoję między uczniami na stoku Góry Oliwnej od strony Betanji i razem z nimi spoglądam w górę za Nim, który podnosi się coraz wyżej, coraz wyżej i wyżej,... przytem wciąż błogosławi ...aż wreszcie niestety — znika w niebieskich wyżynach. A serce dławi uczucie smutku—jak zawsze wtedy—gdy krewny lub szczery przyjaciel szykuje się w daleką podróż, z której nigdy nie wróci.—

Lecz gdy wkońcu czytam: „...uczniowie wrócili się do Jeruzalem z radością wielką"—wtedy mnie, zwykłego człowieka, ogarnie zdziwienie. Jakto? Wrócili się z radością wielką? W pierwszej chwili postępowanie uczniów wydaje mi się niepoprawne. Przeciętny człowiek nie cieszy się z odejścia przyjaciela. Lecz gdy się czyta w Dziejach apostolskich 1, 4—5: Jezus przykazał im: „Nie odchodźcie z Jeruzalemu, ale czekajcie obietnicy ojcowskiej, o której słyszeliście mnie mówiącego, to znaczy, że będziecie ochrzczeni Duchem Świętym po niewielu tych dniach",— wtedy dopiero mogę pojąć tę wielką radość uczniów.

Wkońcu trzeba czytelnikom przypomnieć, że uczniowie cieszyli się nietylko z obietnicy, która miała się spełnić po dziesięciu dniach, ale też z tego, co już posiadali. Czytamy bowiem w ew. Jana 20,22: „Gdy Jezus w sam dzień zmartwychwstania wieczorem stanął w zgromadzeniu uczniów swoich, tchnął na nich i rzekł im: „Weźmijcie Ducha Świętego!" I tak uczniowie posiadali od dnia Zmartwychwstania aż do wylania Ducha Świętego zadatek tego Ducha.

Teraz możemy dopiero zrozumieć, że ktokolwiek z uczniów Jezusowych—dawnych lub dzisiejszych—posiada choćby zadatek -- małą część Ducha Świętego, nie może rozpaczać w chwilach i czasach samotności, dolegliwości, cierpień, prześladowania, ciężkiej pracy zbożnej, około wychowania zwyrodniałych ludzi i ludów... Wie bowiem, że Duch wywyższonego Jezusa nie ustępuje z tej niskiej ziemi, ale ciągle działa śród godnych i niegodnych.

Kochany czytelniku! Czy posiadasz choćby zadatek Ducha Chrystusowego?

Te i inne myśli zaprzątały cały mój umysł, gdym wstąpił do kościoła w Narzymiu na mazurskie nabożeństwo w pierwszą niedzielę po odejściu ks. Heldta.

Minęła dawna świetność ewangelickiego ludu mazurskiego! Nabożeństwo mazurskie przedstawia smutny obraz. Przychodzi nań zaledwie dwunastu starych Mazurów. Ma się wrażenie, że zbór zamiera. Chylący się słup po prawej stronie ołtarza wskazuje również na to, że zbór jest bliski upadku. Nic dziwnego. Nad zagładą ludu mazurskiego pracowało wielu duchownych wodzów i dawnych nauczycieli przez dziesiątki lat. Kościół ewangelicki zamienili na niemiecki. Dr. Marcin Luter acz kolwiek Niemiec—jednakowoż nie założył kościoła niemieckiego, ale jego życzeniem i dążeniem było, by kościół ewangelicki był kościołem, przeznaczonym dla wszystkich narodów, by w nim panował Duch Chrystusowy, a nie świecki, naprzykład -- pruski. Lecz co tam duchowieństwu kościoła unijnego zależy na tem, co Dr. Luter chciał zrobić z kościoła: Niech kościół nie ma Ducha Chrystusowego, niech zamiera, niech się jego ołtarze rozpadną, powały zawalą, „niech"—jak powiedział jeden z tutejszych księży — „zaginie we swoich błędach, byle aż do ostatniego dnia był kościołem niemieckim".

Nie dziwujcie się przeto, Mazurzy narzyńscy, że was inni wyzywają od „szwabów", że wam chcieli „zarekwirować" kościół w dniu 3 maja. Macie do zawdzięczenia władzom polskim, które na czas przysłały z Działdowa policję, aby broniła waszego kościoła. Rządy polskie nie dopuszczą do tego, żeby kto komu rekwirował kościoły, jak się to działo w Niemczech. Lecz jeżeli chcecie, aby was nie nazywano szwabami, ale raczej poważano jako równych przed prawem obywateli polskich, sprowadźcie takiego księdza, któryby oprócz nabożeństw niemieckich urządzał piękne i Duchem Bożym owiane nabożeństwa mazurskie. Wtedy inni nie będą potwarzali waszego kościoła, nie będą go nazywali „szwabskim" ale ze czcią i poszanowaniem będą go nazywali ewangelickim. I zbór nie zaginie, lecz ożyje na nowo. A po każdem nabożeństwie będziecie się gromadnie rozchodzili do domów waszych z wielką radością, jak niegdyś apostołowie wracali z Góry Oliwnej, pożegnawszy się z Jezusem, Panem swoim, lecz nie na zawsze.

[illegible]

Ojców mowy i kościoła dzisiaj prawy Mazur woła!

Najemnicy.

W sobotę, dnia 4 maja r. b., ostatni dzień swojego rajskiego żywota w Narzyniu, przeżywał dotychczasowy proboszcz tej ewangelickiej parafji ks. Heldt. Tego dnia bowiem on wraz z innymi „Reichsdeutscherami" musiał iść tam, skąd przyszedł: do swojego Vaterlandu.

A stało się to tak.

Swojego czasu rząd niemiecki wyrzucił „binnen 24 Stunden", a nawet i tego nie, jako „laestige Auslaender" obywateli polskich. Rząd polski czekał parę lat i nakazał ks. H. i jego towarzyszom w przeciągu 8 dni opuścić Polskę.

Stało się więc wedle słów Starego Testamentu, na których zbudowana jest i niemiecka sprawiedliwość: oko za oko, ząb za ząb. Po niemiecku się to nazywa: Wurst wider Wurst. Bijesz ty mojego żyda, biję ja twojego żyda. Ale przytem widzimy, jaki to inny i zacniejszy jest rząd polski: nie zaraz się odwzajemnił za „pruską" gościnność: po dłuższym namyśle to uczynił i nie żydowsko-niemieckim sposobem, wyrzucając ludzi w przeciągu 24-ch godzin na złamanie karku, lecz dając bardzo wygodny termin. Jednem słowem rząd polski nawet tam, gdzie jest przez nieprzyjaciela zmuszony postąpić wedle starego zakonu, czyni to, ale z dodaniem chrześcijańskiego miłosierdzia. Sława mu!

Ale wróćmy do naszego „bohatera". Niemożna powiedzieć, żeby miał „grubą skórę": owszem, już zawczasu, przed otrzymaniem „Ausweisu" na jakie 10 dni on, jako „ksiądz niemiecki" nałożył płaszcz Nikodema i w cichości wieczora poniżył się do tyla, że zaszedł do jednego gospodarza Mazura i tak mu rzekł: „Czy nie wieta, czyby ja nie mógł w Polsce nazawsze ostać i otrzymać obywatelstwo polskie? Jabym wtedy dał swoje dzieci po polsku szkołować i sambym się też lepiej po polsku nauczył. Eigentlich ich bin auch ein Masure! Rodziłem się w Łecu, a rodzice moi to byli Mazurzy!..."

Jadziwi się czytelnik temu, że się ks. H. tak skruszył, ale wnet mu wyjaśnimy, co to była za przyczyna. Oto ten Mazur-gospodarz jest członkiem zarządu „Polsko-Mazurskiego Towarzystwa Ewangelickiego w Działdowie". Ks. H. chciał się tem jeno przymilić, azeby otumanić onego Mazura. Ale otrzymał taką odpowiedź, iż mu nie w smak poszła, a wynikiem tej odpowiedzi było podanie do Konsystorza Rządu, zamieszczone w ostatnim numerze „Gazety Maz.".

Albowiem ks. H. naodział tylko płaszcz Nikodema, ale nie zamienił swego serca na nikodemowe, które rzeczywiście prawdy i zbawienia szukało.

Zaiste, trzeba tylko takiego „bohaterskiego" jak u ks. H. umysłu, żeby czegoś podobnego spodziewać się po ludziach, co się jemu nie rok i nie dwa przyglądali, jak to on w „Winnicy Pańskiej" pracował.

Chciał, żeby mu rząd polski dał obywatelstwo, zaś za to obiecywał, że potem pośle do polskich szkół dzieci. Tak mówi duchowny, a nie żyd handlujący starzyzną! To póki mu Berlin płacił (mamy na to dowody przez samego ks. H. wydane!) i marka niemiecka jeszcze coś nie coś znaczyła, to wtedy sam po cichu sprowadzał niemieckie „fible" od „Schulvereinu" i „Deutschtumsbundu" i tak tym „kwasem pruskim" mordował wraz z żoną swoją dzieci mazurskie, ucząc na lekcji religji różnych Bukowskich, Dąbrowskich, Sciborów i t. p. nie religji, lecz czytania i pisania po niemiecku! Ale jak ta marka niemiecka spadła, jak się dowiedział, co z księżmi wyrabiają Saksy (patrz ostatni numer „Gaz. Maz." i inna ludność jego „Vaterlandu", żal mu się wielki zrobiło porzucić chleb polski i pomyślał o... geszefcie!

Nie, jegomościulku, najemników Polska nie potrzebuje! Zaś Mazurzy także tylko prawdziwych chcą mieć pasterzy, co nie idą na parafje po owce, lecz idą do owiec! A coś Ty dobrego najmniejszemu z twych maluczkich parafjan zrobił? Chyba niewiele tego było, skoro nikt Cię nawet przy Twoim odejściu nie pożałował i nie żałuje.

Owszem smuci się lud ewangelicki, że obecnie nawet i takiego „nieużytecznego sługi", ale zawsze „sługi" w szafowaniu dobrem wieczystem Słowa i Sakramentów Bożych nie ma, ale dla Ciebie miał tylko jedno: z ulgą i grzecznością pożegnać na zawsze.

Albowiem nie można jednocześnie służyć Bogu i mamonie, bo to takie rozdwojenie wcześniej lub później się srodze pomści: nawet na trzeciem i czwartem pokoleniu. Widzą to i czują to dobrze starzy Mazurzy i ich ocalałe od krzyżackiego złodziejstwa potomstwo.

Świta nowy dzień wyzwolenia się z tej niewoli faraońskiej i dlatego każdy Mazur, który ma w sobie choć okruszynę sumienia swych starodawnych ojców, którzy kiedyś — kiedyś w Narzynu lasy narzynali, ten powie radośnie: oto wracamy z pod opieki wilków do swojej zagrody.

Początek już się stał. Ks. E. Lodwick

Emilja Sukertowa.

Legendy mazurskie.

I.

Grunwald i Tannenberg.

Było to na cztery lata przed wybuchem wojny w piękny lipcowy poranek. Promienie słoneczne spijały lśniącą rosę z pól i łąk zazielenionych.

Szłam gościńcem równym i jasnym, osłoniętym dwoma rzędami rosłych przydrożnych klonów.

Na rozstaju dróg dostrzegłam siedzącego na kamieniu starca: mógł mieć lat ośmdziesiąt, a może sto. Twarz jego papierowo-biała pokryta była siecią zmarszczek. Włosy i broda mlecznego koloru spadały mu na płócienną, zgrzebną świtkę. Błękitno-siwe oczy jego, przysłonięte łzą starości, poczciwie patrzyły przed siebie.

Podeszłam do niego, a pozdrowiwszy go w niemieckim języku, spytałam, czy daleko jeszcze do Tannenbergu.

Spojrzał na mnie, a potrząsnąwszy głową, dał mi do poznania, że nie rozumie słów moich. Powtórzyłam więc pozdrowienie i pytanie po polsku.

Żywa radość odmalowała się na twarzy starca, a papierowa cera jego zabarwiła się podskórnym rumieńcem. Drżącym głosem odpowiedział na moje pozdrowienie. Wkrótce zawiązała się między nami rozmowa żywa i serdeczna.

Starzec radował się z niespodziewanego dlań spotkania, a ja nie mniej zadowolona byłam, widząc przed sobą jednego z ostatnich przedstawicieli pokolenia, które pamiętało dawne, lepsze czasy, a które znikło już z ziemi mazurskiej.

Wychowany pod słomianą strzechą rodzicieli w miłości i przywiązaniu dla ziemi i jezior ojczystych, dla gadki mazurskiej — przeżył on szmat życia, w doli i niedoli, opłakał i pogrzebał pokolenie, które go wydało, potem własnych synów i córki, a nawet wnuki. Wśród prawnuków swoich obcym się czuł, zrozumieć nie mógł ich, tak jak oni jego nie rozumieli. Boć odpadły dzieci jego dzieci od pnia rodzinnego, języka macierzystego znać nie chciały, zniemczałe, wstydziły się nawet przodka swojego za to, że był Mazurem. Obcymi byli dla siebie, nic ich nie łączyło, przeciwnie przepaść pomiędzy pragrózkiem a prawnukami z roku na rok stawała się większa.

Rozgawędził się starzec... Prawić począł o dawnych, odległych czasach... Przypomniał mu się w Bogu spoczywający na pobliskim cmentarzu grózek jego, który znany był w całej okolicy z tego, że nikt tak, jak on, pieśni mazurskich śpiewać nie umiał, nikt tak, jak on, baśni i legend prawić nie potrafił. Od tego grózka dowiedział się on, smykiem będąc, co się działo przed wiekami na ziemi mazurskiej, jak to niemieccy rycerze Zakonu Krzyżackiego lud ciemiężyli, jak wojowali z sąsiadami Polakami, którzy się za uciśnionym bratnim ludem mazurskim wstawiali. Pokazywał mu grózek one miejsca, gdzie leżeli obozem rycerze Zakonu i drogi, któremi nadciągnął od strony Działdowo bohaterski a pobożny król Polski, Władysław Jagiełło, w lipcu roku 1410.

W miarę tego jak opowiadał mój nowy znajomy, głos jego, drżący ze starości, nabierał młodzieńczego dźwięku, w oczach wyblakłych pojawiały się błyski, a ręka wychudła wskazywała coraz to inną stronę i inny kierunek.

Mówił on językiem mazurskim tak pięknym, jak gdyby zapożyczonym ze starych ksiąg, gdzieniegdzie jeszcze w chatach Mazurów przechowywanych. Nic dziwnego: „Rajski ogródeczek" nieboszczyka Jana Arndta i „Kazania" współczesnego temu, a zmarłego w 1625 r., księdza Dambrowskiego, nieznane prawie młodemu pokoleniu zniemczałych Mazurów, były jego serdecznymi przyjaciołmi i towarzyszami, z którymi wzrósł i zestarzał się. Księgi te otwierał on co dzień i czytywał w skupieniu.

To też słuchałam opowieści starego Mazura z wielką przyjemnością. On, widząc, że ma we mnie chętną słuchacz-

Joczek z Działdowa gada.

Jo, pani kierowniczka, pieknie witam Jmość w naszej „Gazecie Mazurskiej" i ślicznie pozdrawiam: daj Panie Boże, azeby naju gazeta przy imościnem doczynkowaniu żyła sto lat i nama, Mazurom, wyszła na zdrowie.

Ej, ludzie mazurskie! A też to chybko leća do onego Małkowego rechtora abo do Mazurskiego Biura Ludowego i zapłaćta mu duchem owte dzieciućkie 3000 marków, coby wama blat rychtycznie wczas przysyłali! Co wy myślita, co naju Gazeta to owten żydowski koń, co to się od picia odzwyczajuł i od żercia takożby się odnałożył, gdyby nie zdechł? Jo, jek będzieta taksamo się o Gazetę kimrowali, ani owten żyd, i marków nie dawać do jedła i picia, to wama rychło zdechnie. A co zas potem? Gdzie jo będę swoje gadanie drukerował? A gdzie będzieta się dowiadywali, co się na tamtym świecie, t. j. w Ostprajsach, dzieje? E, co tam za siła gadać: zróbta, co się pokażeta jek fein gospodarze. Jo wama prawdziwie powiedam, że będę pisał do Pana Wojewody, że kto „Gazetę Mazurską" za darmo czyta, ten jest „laestiger Auslaender" i niechaj oni jego sofort auswe sują!

Ale to mi się udało, co ten z Narzynia dostał swoj laufpas! Jo, to było rycht dobrze! Toć to mówił mi mój pobrat, jek on do mego przyszedł i powiedywał, co jest eigentlich auch ein Masure! A to widzisz, bratku, już tera na świecie i Mazur coś geluje? To już nie Mazur całuje Niemca w... Ruhrę i w grubach spokojnie zdycha, ale patrzta no i dziwujta się na całą gębę: oto jegomość niemiecki sami do dźwierzy gbura mazurskiego kołacą, i mają do mego „gesuch"! A to ci uciecha! A słyszał to świat? To już nie smakuje tobie chlebek królestwa niemieckiego? To jużeś w brzuchu Mazura poczuł? Nie, kto w s e r c u nie ma nic mazurskości, kto ciałem i duszą nie jest Mazurem, ten „muss raus"!

Jo, jo Gottlieb Joczek z Działdowa, rychtyczny Mazur, takoż swój podpis na owte podanie moich kochanych bratów kładę i dopraszam się serdecznie, coby był nowy welunek do kirchenratów i vorstandów, coby żaden Auslaender się do nich nie należał i coby ksiądz był polski ewangelicki, bo u naju są same niemce (nawet jeden litewski niemiec) zaś moje dziatki brukują polskich poświęcanków i po polsku jutrznię sprawować. Takoż i ja się usiłuję o to, coby naju kościół był fejn odbudowany ani ono nowe Jeruzalem. I nie chcę niemieckiego kościoła i jakiegoś tam wymyślonego omijnego, aby każdy go człowiek omijał, jeno brukuję naszego starego szczernego ewangelickiego, jek to Pan Jezus nauczał. A do tego kościoła należy się wszystkich ewangelików zgromadzić i pospołu z nimi światować: mazurskie ewangeliki, niemieckie ewangeliki, polskie ewangeliki i jako się tam nazywają. Na świecie musi być sprawiedliwość. Jek my ją do kościółka naszego miłego nie wprowadzimy, to daremno będzie szukać jej gdzieindziej.

Powiedywał mi jeden chłop, taki michlowaty i zmachlowany Mazur, ani owten Fryc, co nie ma nic, albo na podób Wilema co nic nie ma, że jego grózek freiwillig na Francuza poszedł, to i on ich całe nie lejduje. Mocno się dziwowałem co ten człowiek bredzi, bo jest dość bildowany, i powiedam jemu tak: Toć jo, waść nie brakuje nikogo lejdować, ale mój grózek takoż nikogo obcego do swojej wsi nie wpuścił i bez to jo, Joczek, nie jestem zgermanieryzowany. Ale jo baczę, co waścin grózek od swoich dziatków masło odbierał i niemcom skórznie smarował, pódźta, a może esce nie wyschło, to obliżeta... Straszna złość rozpaliła onego mądralę, ale że buł więcej bilderowany, niż ja to mi powieda: widzę, Joczku, coś jest głupi, bo człowiek dopiero jek jest 40 lat stary, to do rozumu dochodzi... Ale jo mu zaś na to: Toć jo, powiedają ludzie, że kto czem starszy, tem głupszy się robi... (Bo owten jegomość jest bez mała 60 lat stary, jo zaś mam prawie 40 roków!) Ale rozeszlim się bez bitki, chocia on był mocno rozgórznowany.

Kiem tak szedł w zamyśleniu o marnościach świata tego i chciał wstąpić na odwitkę do Rozaja, aliści baczę banasiowy osiołek coś pociesznie pobrykuje i przeraźliwie pokwikuje. —Nanu, robaczku mój, co ci się stało? pytam go. A on, ani wierny potomek oślicy Bileamowej, ozdziawił gębę i tak mi wrzescy: Juchha! juchha! —Co za psia jucha? —Dziś mam Feier, Feier! —Bez co tak? —Bo niema ju Kener, Fener! —Czyś całe już ogłupiał, ani rychtyczny osioł? zawołałem, bo już nikiej nie rozumiem, co ty bredzisz? —A bo, kiedy osioł przemawia, to je mądry, ale kto nie rozumieje, to je głupek. Miałem kulas w ręce, przeciągnąłem po pozytkach to obrazne stworzenie i powiedam słodko: „Mój osiołecku, mów po ludzku: co jest „los"? Poskrabał się boroczek o ścianę domu kole Fragmanna, aż się owten pruski mur ozwalił, i rozpowiedywa taką rzecz: „Mój posiedziciel, co chciał być welowany na posła, dzisiaj dał się wypisać z Fenerwehry, bo ma złość, co mu Deutschtumsbund auflezowali. Dotela to mi groził, że mu będę wode woził, ale tera jestem frei! No to co, czy bez to pożar jest vorbei? —Ju, ju, jakby się nawet całe miasto miało palić, to jo będę pokój chwalić! —A jek jego tak fabryka? — Juchha, juchha! to muzyka! To jo wtedy się usiędę, bo ju wozić nic nie będę! Juchha, juchha!... I wrzasnąwszy z głębi brzucha, pomknął kieby zawierucha.

Chciałem powiedzieć jemu, coby dał pokłonić się swojemu panowi, ale był już daleko!

Jo zaś drogę do Rozaja zmyliłem i przyszedłem do domu. Mocno jestem temu rad.

Gnarujta się dobrze, pani Redakcyja!

Waju Gottlieb Joczek.

---

ke, począł opowiadać piękną legendę, związaną z jego wioską rodzinną, Grunwaldem.

W przeddzień wielkiej i pamiętnej bitwy, kiedy to sądzone było zwyż, aby na polach Grunwaldu i Tannenbergu zmierzyły się dwie potęgi — państwa Polskiego z Zakonem Krzyżackim,—kiedy zachwiać się miała powaga i siła Zakonu, rozszalała się tak straszna burza, jakiej najstarsi mieszkańcy nie pamiętali. Grzmot uderzał za grzmotem, a błyskawice zdawały się rozrywać kopułę niebios. Przy blasku błyskawic widziano na niebie znaki, wróżące Krzyżakom smutny wynik spodziewanej bitwy.

Podobno w tej stronie nieba, gdzie powinien był być widziany księżyc, ukazał się mnich, który w ciągu długiego czasu walczył uporczywie z królem w koronie. Król jednakże odniósł w końcu zwycięstwo nad przeciwnikiem w habicie.

A kiedy rozgorzała bitwa, kiedy dwie wrogie armje—Polacy i Rycerze Krzyżowi—w szale nienawiści i żądzy zwycięstwa wszczepiły się w siebie w piekielnym zgiełku bitewnym—hen, wysoko nad kurzawą i dymem ukazał się mąż świątobliwy w polskie przyodzian suknie. Unosił się on nad wojskiem króla Jagiełły, udzielał błogosławieństwa rycerzom walczącym.

Gdy jednak pod silnym naporem butnego Krzyżactwa załamywać się poczęły szyki polskie, gdy klęska zdawała się grozić Polakom—świątobliwy ów mąż, zstąpił pomiędzy szeregi, słabnących w męstwie pokrzepiał na duchu, dodawał odwagi, zapalał do boju, do bohaterskich czynów!

Powiadali starzy, że mężem tym był pono święty Stanisław, patron ziemi polskiej. Jemu też podobno zawdzięczał dzielny a pobożny król, pan Korony Polskiej i Litwy, Jagiełło, one wiekopomne zwycięstwo, odniesione nad „chytrymi nieprzyjaciółmi Chrystusa", rycerzami niemieckiego Zakonu Krzyżaków, na ziemi mazurskiej pomiędzy Grunwaldem a Tannenbergiem. (D. c. n.)

Sprawy polityczne.

G d a ń s k. Rząd polski rozpoczął nowy kurs w stosunku do wolnego miasta Gdańska, anuluje wszelkie poprzednie metody ustępstw i z całą energją zamierza walczyć o słuszne prawa Polski w Gdańsku, zagwarantowane przez traktat wersalski.

N i e m c y. Propozycje niemieckie uregulowania długów wojennych zostały przez Francję, Belgję i Anglję odrzucone.

S z w a j c a r j a. W Lozannie faszysta szwajcarski, Conradi, zabił wystrzałem z rewolweru posła sowieckiego w Rzymie, Worowskiego, oraz ranił ciężko towarzyszów jego, którzy przybyli do Lozanny z powodu konferencji wschodnich.

Z kraju i ze świata.

Z M a z u r.

D z i a ł d o w o. Za nielegalną działalność został rozwiązany miejscowy Deutschtumsbund. P. Richardt „Geschaeftsfuehrer" tego towarzystwa, został wysiedlony z państwa Polskiego do Niemiec.

Jako jeleń pragnie wody, tak chce Mazur z Polską zgody.

Zawiadomienie. Ponieważ p. naucz. Karol Małek przesiedlił się do Brodowa, przeto oprócz niego przyjmuje należytość za „Gazetę Mazurską" również „Biuro Mazurskie" w „Domu Mazurskim" przy ul. Dworcowej.

— Dyrekcja Państwowego Seminarjum Nauczycielskiego w Działdowie przyjmuje podania o przyjęcie uczniów i uczenic do zakładu, do 23 czerwca 1923 r.

Nabożeństwa seminarjalne odbywają się na Zamku o g. 8 zrana.

Poradnik gospodarski.

Znaczenie łąk i sprzęt siana.

1. Znaczenie łąk w gospodarstwie rolnem.

Łąki w gospodarstwie rolnem to wielkie bogactwo. Rolnik, posiadający łąki, winien uświadomić sobie w całej pełni to, że: 1) siano jest paszą, która w stosunku do innych pasz jest najtańszą; 2) zbiór siana w porównaniu ze zbiorem innych płodów rolnych jest najłatwiejszy; 3) siano posiada w sobie pokarmy w formie najłatwiej przyswajalnej dla zwierząt i najłatwiej strawnej; 4) siano w przeciwstawieniu do innych sztucznych pokarmów i bardziej pożywnych, jak melasa, wywar, makuch i t. p., jest pokarmem zupełnym, to jest posiadającym wszystkie pokarmy, potrzebne dla budowy ciała zwierzęcego; 5) dobre siano posiada w sobie różne materje aromatyczne, to jest takie, które czynią je smacznem i pobudzają w zwierzętach apetyt.

Właściciele większych obszarów łąk winni dążyć do prowadzenia na szerszą skalę gospodarstw hodowlanych, to znaczy do oparcia dochodów swoich gospodarstw na wychowie zwierząt domowych i na sprzedaży tego, co zwierzęta dają (mleko, masło, wełna i t. p.) i pamiętać, że ci, co nie posiadają większych łąk, co w braku tych łąk zmuszeni są do zasadzenia marchwi i buraków pastewnych, do siana, wyki, saradeli i różnych mieszanek na paszę, znacznie więcej pracy i kosztów muszą włożyć w wychów zwierząt, w wytworzenie każdego funta masła.

2. Łąki nizinne i wyżynne.

Nie wszystkie jednak łąki dają to dobre, zdrowe siano, inne siano dają łąki nizinne, a inne otrzymujemy z łąk wyżynnych.

Łąkami nizinnemi nazywamy łąki zakwaszone, torfiaste. Na łąkach zakwaszonych nizinnych rosną mchy, skrzypy, szczaw sitowie, a szczególnie różne gatunki rzeżuch. Rzeżuchami nazywamy te gatunki traw, które posiadają na krawędziach drobne, dostrzegane przy dotknięciu ostre ząbki, tak ostre, że o trawę można skaleczyć bosą nogę.

Im więcej takich z ostremi ząbkami na łące rośnie traw i im bardziej te ząbki są wydatne, tem trawa taka, skutkiem podrażniania żołądka, trudniejsza jest do trawienia i mniej wartościowa, jako pasza.

Łąkami wyżynnemi nazywami łąki, znajdujące się między polami, łąki na glinach, na których rosną trawy słodkie, jak tymotka, kostrzewa, kupkówka, rejgras, koniczyna, mietlica i t. p.

3. Ile razy kosić łąki?

Łąki wyżynne z bujnym porostem trawy należy kosić dwa, a nawet trzy razy, jeżeli tylko trzeci pokos da się wysuszyć i rozłożyć. Im częściej kosimy łąki, tem więcej zbieramy z niej trawy i tem smaczniejsza, pożywniejsza jest ta trawa.

Jeśli posucha łąkę wypali, jeśli porost jest mały, jeśli deszcze jesienne trwają dłuższy czas bez przerwy, zbieranie otawy (potrawu) jest utrudnione, a czynienie z mokrych traw kiszonek wymaga umiejętności.

Łąki nizinne, jeśli chodzi nam o to, żeby trawa była jaknajsmaczniejsza, najpożywniejsza, mniej ostra, twarda, należy kosić w tym czasie, kiedy zaczynają kwitnąć.

Jeśli zaś chodzi o jak największy zbiór, jeśli trawa ta nam potrzebna nie na pasze, lecz na ścieliwo, lub jaki inny cel, to kosić należy ją później.

4. Kiedy kosić łąkę?

Trawa, podobnie, jak brukiew i rzepa wtenczas jest najsmaczniejsza i najpożywniejsza, kiedy jest młoda, kiedy ma w sobie dużo soczystości.

Stąd też wyżynne łąki pierwszy raz kosić należy wtenczas, jak tylko zaczęły kwitnąć na dobre.

Łąka okwitająca traci wiele na wartości pokarmowej, traci pożywne pączki i kwiat, soki ze swego ciała najpożywniejsze przeprowadza w nasiona, które rozsiewa. Zamiast soków, zamiast tego pożywnego roślinnego jej mięsa, zostają w łodygach twarde błonki drzewnikowe, słowem—skóra i kości.

Drugi raz należy kosić otawę (potraw), jak tylko podrosła na tyle, że jest już co zagarnąć kosą.

Koś łąkę zawsze w pogodę i przed pogodą. Mały deszcz podczas koszenia niewiele szkodzi, byleby natrafić na pogodę po skoszeniu. Rano zaczynaj koszenie, jak rosa obeschnie.

5. Jak postępować po skoszeniu.

O ile możności zaraz za kosą należy rozbić pokosy i rozrzucić je cienko grabiami. Tegoż dnia wieczorem należy zgrabić w małe kopki. Następnego dnia, jeśli sprzyja pogoda, po obeschnięciu rosy rozrzuca się kopki w kręgi i re kilka razy od spodu styliskiem (czyli kijem) grabi porusza się dla przesuszenia — wieczorem zaś układa we większe kopice. A kiedy siano na tyle przeschnie, że wzięte ze środka kopic grubsze łodygi traw tak są wysuszone, że z łatwością można je łamać, należy kopice stożyć. Rad. Kraj.

Giełdy.

Na giełdzie pieniężnej w Warszawie dnia 17 maja 1923 r. płacono:

1 markę niemiecką	—	Mkp.	1.04
1 dolar amerykański	—	„	47.750.—
1 funt szterlingów angielskich	—	„	223.500.—
1 frank francuski	—	„	3.215.-

Ceny złota:

za 1 rubla złotego	Mkp.	—.—.—
za 1 markę złotą		—.—.—
za 1 koronę złotą austrjacką	„	—.—.—

Miljonówka Mkp. 1700, 1730.

„Gazeta Mazurska"

pismo, poświęcone sprawom Mazur Ewangelickich, wychodzi co drugi tydzień w niedzielę. Prenumerata wynosi: miesięcznie 1000 mk., kwartalnie 3000 mk. Cena egzemplarza pojedyńczego mk. 600. Cena ogłoszeń: Na ostatniej stronicy za wiersz czteroszpaltowy nonparelem mk. 300, w tekście 500 mk.

Między książęty Mazur zasiędzie, jeśli w nauce ćwiczyć się będzie.

Redakcja w Warszawie: Hoża 1 m. 10, tel. 408-24. W Działdowie: Mazurski Dom Ludowy. Konto czekowe P.K.O. Nr. 4852

Redaktor: Ks. J. Gloch, współred. w Działdowie: K. Kożusznik. Kierownik literacki: E. Sukertowa. Wydawca: Z.E.P., współwyd.: T.P.M.

Drukarnia „Współczesna", Warszawa, Szpitalna 10.